Ner 17. Kraków 1 września 1868. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania. — Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody i kroje z gotowemi formami opisami dołącza się każdego 1go. Nuty każdego 15go.

BIURO REDAKCYI i ADMINISTRACYI przy ul. Jagiellońskiéj Nr. 204 na dole otwarte codziennie wyjąwszy niedziele i święta od godziny 9tej do 12tej rano.

Nr. 17: O poezyi lirycznéj na podstawie liryki greckiéj, przez Alfr. Szczepańskiego. — Rok 1793 (z Augusta Barbier), wiersz. — Podróżny (powieść Karola Dickens), przełożyła z angielskiego M. — Dziewczę i wianek, (wiersz) — O zachowaniu wzroku, przez Dr. Wojc. Wolka, (c. d.). — O umarłéj (Musset r. 1842), wiersz. — Zwrotka (z Berangera), wiersz. — Rachunki z r. 1867 przez Bolesławitę. — Międzynarodowa uroczystość odsłonięcia jubil. polskiego pomnika w Szwajcaryi. — Wspomnienie pośmiertne śp. ks. biskupa L. Łętowskiego. — Kronika. — Mody. — Wiad. bibliograficzne. — Nowy wychowawczo-nauk. zakład. — Ogłoszenie.

Przy dzisiejszym numerze dołączamy dla Pren. mody: **Kolorową rycinę mód, drugą kolorową rycinę wzorów kapeluszy i ubiorków, podwójny arkusz wzorów dla domowéj roboty, i gotowy model z papieru.**

O poezyi lirycznéj

na podstawie liryki greckiéj

(wykład publiczny miany w sali Tow. nauk. krak. d. 1 kwietnia 1868)

przez *Alfreda Szczepańskiego.*

(Ciąg dalszy.)

W ten sam sposób powstawały rozliczne pieśni obrzędowe, owe weselne hymenea, epitalamia itp. według wzoru których i u nas zaściankowa muza przy każdéj sposobności popisywać się lubiła. Przy każdéj uroczystości domowéj pieśni takie wykonywane były przez chóry z chłopców i dziewcząt, przypominające nam nasze wiejskie druchny. W ogóle dzisiaj możemy to widzieć jedynie jeszcze u ludu wiejskiego jak pieśń towarzyszy każdemu obrzędowi przy napitce i przy tańcu, przy weselu, przy pogrzebie i chrzcinach. Ta jednak zachodzi różnica, że to, co dzisiaj wyłącznie u ludu wiejskiego się zachowało, było u Greków powszechnym obyczajem całego, jednolitego, wysoko ukształconego narodu. Było to zapewne kiedyś i u nas w owych przedhistorycznych, słowiańskich gminnościach. Gdy jednak następnie większe ukształcenie jednych warstw, a upośledzenie innych rozdzieliło jednolitą ludność — więc warstwy uprzywilejowane pozbyły się dawnych zwyczajów przyjmując nowe, a tylko prostaczkowie przechowali to co swojskie, żywiąc się tradycyją i pieśnią. Czy życie nasze cywilizowane nie straciło na uroku przez to, że coraz więcéj wyzwala się z pod naiwnych może, ale serdecznych i symbolicznych zwyczajów? czy ogołocone z pieśni gromadnéj, wspólnéj nie staje się coraz jałowszém i suchszém? czy pieśń i muzyka uczona może zastąpić ów bezpośredni a ogólny udział, jakiego wymagały pieśni i święta zwyczajowe? Na pytania te zdaje się, że tylko z żalem odpowiedzieć możemy: szkoda, przepadło, nie wrócą się już sielankowe czasy, nie ma na to rady. Więc dajmy temu pokój, a powróćmy do przedmiotu.

Były zatém uświęcone zwyczajem, uprawiane i lubiane obrzędowe pieśni domowe, miejscowe, prywatne. A cóż dopiero, kiedy się odbywała uroczystość publiczna! Kiedy cały naród zbierał się na istmijskie, pityjskie i olimpijskie igrzyska. Wtedy wszelka zręczność ciała i wszelka twórcza potęga ducha występują w zawody o wawrzyn i sławę. Wtedy pieśń, która wielbi zwycięzców, opiewa ich dzielność, zasługi i przygody i dzieje, śpiewaną jest przez cały naród i zarówno jak zwycięzcą, tak i pieśnią cały naród się raduje. Dzisiaj przy uroczystości publicznéj odbywają się mowy, czasem jaki *monstre-concert*, a publiczność patrzy i słucha, ale nie bierze udziału. I nie mogą się dziś odbywać publiczne zawody i współubiegania (konkursa) ani co do zręczności ciała — bo dzielność fizyczna, wyrobienie i piękność cielesnego kształtu nie stanowią dzisiaj nieodzownéj, koniecznéj części wychowania i obyczaju publicznego — ani zawody historyków, albo poetów, bo nie stać ich może na tę siłę i na tyle uroku żeby cały naród zająć i zachwycić — a publiczność znowu nie ma tyle ukształcenia i sądu, żeby pracownicy umysłowi pod wyrok tłumu poddać się chcieli. Inne dziś warunki, inny skład społeczeństwa, rozszerzony obszar i rozmaitość nauk czynią to niepodobném. Przeciwnie Grecy mogli się cieszyć takim powszechnym udziałem, słuchali i sądzili swoich mistrzów, przyklaskiwali bohaterom i roznosili w pieśniach wesele i dumę narodową, urządzając wszędzie za powrotem z igrzysk triumfalne pochody i biesiady.

Takie to publiczne, *panheleńskie* święta wydały najsłynniejszego z liryków greckich: Pindara.

Niestety jest on dzisiaj dla nas bardzo trudnym do zrozumienia, prawie niepodobna przyswoić go sobie. Ody i hymny jego malowane są wszystkiemi barwami miejscowości, stosunków prywatnych, rodowodów familij i miast, całe bogactwo mitologii służy poecie za rydwan, na którym wobec narodu bohaterów jego obwozi. Potrzeba więc albo dużo szczegółowych wiadomości, albo mnóstwo nużących wyjaśnień, aby go zrozumieć, aby odczuć kunsztowną budowę jego pieśni, wysoki

nastrój obrazów, wzniosłość, a niekiedy pompatyczność wysłowienia, a zawsze pełne mądrości i wdzięku zaokrąglenie. Przytoczę tu nieco z łatwiejszych wyjątków*):

...O piękna Aglajo, o pieśni bogini,
Talio, ty także wdzięczna Eufrozyne:
Taneczne wam koło prowadzi chłopczynę,
Co honor szczepowi dziś czyni.
Pieśń moja tańcom zwycięztwa zawtórzy,
Zawoła Echa, niech z pieśnią pochwały
Bieżąc, w ponury kraj Hadu się nurzy,
Gdzie ojciec chłopięcia zsiwiały.
O, kiedy go spotkasz, starego Klaudama,
Mów, że nad Pizy zatoką
Syn młodocianym swym lokom
Wieniec pozyskał skrzydlaty,
Że teraz świątyni brama
Wita go w świcie bogatéj!...

. . . .

Ale cyt! Ostrożnie z pochwałą!
Lepiéj rzec mało,
Niż wiele powiedzieć.
Zazdrość nie lubi przy pochwałach siedzieć,
Dzielność człowieka pochwałą się gubi:
Dosyć, byś zawsze był człekiem,
Któremu zazdrościć świat lubi.
Ty dąż do celu, co szczytny,
Stéruj po morzu władania dalekiém,
Pram stérem, a w tém bądź ambitny
By słowo twe każde, co z ust twych wypadło
Przeszło przez prawdy kowadło....

. . . .

...„Bo gdy król błąd karli spłodzi,
Lud go przekuje w olbrzyma“ —
Czyja dłoń tak wiele trzyma,
Ócz tysiące za dłonią tą chodzi.
Więc szczytnéj trzymaj się drogi,
Jeżli ci miłym ten błogi
Szept dobréj sławy dokoła i t. d....

Ale zdaje mi się, że się nie omylę w przypuszczeniu, że słuchając tych rzeczy, przez niejedną główkę przeleciało już niecierpliwe pytanie: a co też Grecy o miłości trzymali? Nic słuszniejszego; boć wiadomo, że uczucie miłości bywa najczęściéj tym kozłem ofiarnym, na którego poeci liryczni pieśniarskie grzechy swoje ładować zwykli.

Otóż szczęśliwy naród grecki lubiał i umiał się kochać. Ale i tutaj musiała się ta rzecz inaczéj objawiać jak u nas. Już z poprzednich określeń warunków ich życia i usposobienia, możemy z góry wnioskować, że pomimo marzeń Platona, nie znajdziemy u nich tego, co nazywamy idealizmem, miłością idealną, ową nadziemską, bezcielesną, ulatniającą się i nieuchwytną, jak woń kwiatu. Jest to również wyrób czasów nowszych, wpływów wyobrażeń chrześciańskich. Nić téj idealnéj miłości ciągnie się przez wszystkie literatury, a już najwięcéj panowała w wiekach średnich, jak to widać w poezyi Minnesingerów (śpiewaków miłości) — a najpiękniejszemi jéj pomnikami są sonety Petrarki, albo Michała-Anioła — piękniejsze jeszcze może w polskim przekładzie p. L. Siemieńskiego, jak w oryginale.

Dalszym wynikiem z tego braku jest, że obcém też musiało być usposobieniu Greków to, co stanowi przeciwny biegun idealizmu, albo raczéj jego karykaturę, tj. czułostkowość, sentymentalizm, owo sztuczne wprowadzanie się w uniesienie, bez rzeczywistéj przyczyny; ów stan chorobliwy, który w Balladynie przedstawił Słowacki w postaci Filona, stan, który panował w salonowopasterskiéj poezyi i często po pensjonarskich główkach się rozbija, a który Heine tak dowcipnie określił w tym króciuchnym wierszyku:

Dziewica stoi nad morzem
I wzdycha, wzdycha bez końca;
Ach, tak ją wzrusza widok
Zachodzącego słońca!

Daj panna pokój wzdychaniu —
Taż to historja znana,
Dziś wieczór zachodzi z przodu,
A wstanie znów z tyłu z rana.

Mimo tych różnic, jest jednak najważniejszy warunek ten sam dzisiaj, jak był kiedyś. Serce ludzkie jest zawsze jedno i to samo, te same ma wszędzie prawa i wymagania. Toż nic dziwnego, że pozostało nam po Grekach mnóstwo pieśni miłosnych, erotycznych. I tylko zauważyć trzeba, że uczucie szczęśliwe będzie tam dziwnie wesołe i naiwnie zmysłowe — a w uczuciu smutném tętni zawsze prawda, szczerość i pewna głębokość — cechy, z któremi w nowszéj liryce nie zawsze można się spotkać.

Pomiędzy poetami miłości najwięcéj zasłynęli Anakreon i Safo. Anakreon dał nawet od siebie nazwisko tego rodzaju utworom — toć wiemy np., że i Kochanowski *anakreontyki* pisywał.

Pieśni jego są tak wdzięczne i miłe, że trudno wybierać, któreby co ładniejsze przytoczyć. Ot np.*):

Chciałem śpiewać o Atrydach
O Kadmosie chciałem śpiewać:
Lutnia wszakże Erosowi
Pieśń pochwalną chce wygrywać.

*) Przekład Szujskiego.

*) Przekład Szujskiego.

Odmieniłem struny lutni,
Odmieniłem lutnię całą:
Chciałem śpiewać trud Herakla,
Lecz znów z lutni: Eros! grało.
Taki widać duch już wieszcza
Bohatery, bądźcie zdrowi.
Lutnia moja musi śpiewać,
Będzie śpiewać Erosowi. —

Chodź tu najlepszy z malarzy,
Ty wszechwładny sztuki panie,
Wymaluj moje kochanie,
Wymaluj z wzrostu i twarzy
Jako ja ciebie nauczę:
Więc najprzód włosy jéj krucze,
Drogim świecące hebanem,
Niech wonią pachnideł wioną
Jeżeliś sztuki twéj panem.
Pod czarnych loków obsłoną
Czoło, co alabastrową
Białością człowieka mami,
Wymaluj Charyt rękami.
Brwi zaś nie mieszaj mi z sobą!
Toż rzęsy cudną żałobą
Opuść na oczy z płomieni,
W których tęsknota Kiprydy
Z mądrością Ateny się żeni.
Na policzki umny człeku,
Pęzel maczaj mi po cichu,
Raz w bieluchném maczaj mléku,
To w różowym znów kielichu.
W ustach ty mojéj kochanki
Zbuduj Peitony *) świątynię
W dołku bródki niech się gnieżdżą
Wszystkie Charity boginie.
Postać całą owioń szatą
Purpurową, przebogatą!
Ależ oto ona idzie,
Idź malarzu, idź we wstydzie!

Chcę, chcę już kochać
Eros mnie zwyciężył:
Wyzwał mię, wziął sajdak
Łuk złoty wytężył.
Ja pancerz na plecy
Jak Achill przywdziewam,
Tarcz biorę i oszczep,
Do boju się zrywam.
On strzela, ja w nogi,
Więc kiedy to zoczył,
Sam stał się pociskiem,
Do piersi méj wskoczył.
Cóż teraz po mieczu,
Cóż teraz po zbroi?
Ja macham na zewnątrz,
On wewnątrz mi broi.

Córka Tantala skałą została
Nad brzegiem Frygii płacząca cała.
Córka Pandiona skrzydły lotnemi
Jaskółką sobie pornęła z ziemi:
Jabym zaś został zwierciadłem,
By na mnie zawsze patrzała;
Jabym się szatą stał miękką
Co białość podnosi ciała,
Sandałkiem byłbym jéj stópek,
Przepaską, co suknię spina,
Kolją się stałbym pod szyją:
Byle mnie chciała dziewczyna.

Z tych miłosnych pieśni możemy poznać, że kobieta w Grecyi lubo nie ma jeszcze tego stanowiska społecznego, jakie jéj nadało chrześciaństwo i cywilizacja nowożytna, to jednak nie jest to już wcale stosunek rzeczowy azjatyckiéj niewolnicy. Musi ona coś znaczyć, skoro o jéj względy już ubiegać się t r z e b a — i musi tam być już wysoka cywilizacja, gdzie uznano, że o te względy ubiegać się w a r t o. A toć już w najdawniejszéj epopei greckiéj mówią starcy widząc Helenę przechadzającą się po murach Troi: „zaistę nie żal prowadzić wojny o taką kokietę". A wiadomo též, że tak wielki mędrzec jak Sokrates, był najwyraźniéj pod pantoflem swojéj osławionéj Xantippy; co sobie wszakże wynagradzał uczęszczając z Periklesem i z całą intelligencją ateńską na *simpozia,* tj. na towarzyskie biesiady do Aspazyi, gdzie obok zabawy poezja, filozofia i sztuki były dla umysłów ambrozją.

Taki, jakbyśmy to dziś nazwali, l i t e r a c k i s a l o n, był również u pani Safo. (C. d. n.)

Rok 1793.

(Z AUGUSTA BARBIER.)

Raz — kiedy statek Państwa starością zniszczony —
Pokłonami ludowym bałwanom zmęczony —
Ze wszystkich stron otwarty — z strzaskanemi maszty —
Na morzu skał podwodnych — pod Niebem bez gwiazdy —
Gnany „Strachem" *) co szarpiąc żagle pchał do jazdy —
Miał rozbić młodą Wolność o podmorskie baszty;

---

*) *Peito,* bogini namowy, przekonania, podbicia serc, a więc i kokieteryi.

*) Le régne de la Terreur.

Królowie Europy — baczni na rozbicie,
Drżeli, by zgruchotany na ich ziem granicie,
Padając — nie rozsypał ich tronów w kurzawę.
A potem — jak korsarze łacnych mordów chciwi,
Z okrzykami wesela rzucili się mściwi
By rozszarpać olbrzyma szczątki nagie — krwawe.

Ale on — choć mu nieraz piorun bok otworzył —
Wnet się wzmocnił w posadach — kark dumnie nasrożył,
Na pomost wyprowadził cały lud rycerzy —
I jak wulkan ostygły gdy znowu zapłonął
Lawą czternastu armij z krwawéj paszczy zionął
I zepchnął Europę — w głąb dawniejszych leży.

* * *

Dziewięćdziesiąty trzeci! — roku krwią zbroczony —
Za twe noże wyklęty — a za laury czczony —
Z głębi czasów minionych nie podnoś już głowy!
Nie budź się! aby patrzeć na dzisiejsze boje!
Po ojcach naszych — myśmy nędznych karłów roje —
Bitwy nasze — wydarłyby tobie śmiech sowy!

O! — z twych płomiennych żarów nic w nas nie zostało!
Duszę mamy spodloną — znikczemnione ciało —
Niezdolni uciskanym podać bratniéj dłoni.
A gdy czasem namiętność nowy żar w nas zbudzi,
To go podłość czémprędzéj zdusi i ostudzi —
I coraz głębiéj lgniemy w znikczemnienia toni!

S. Równia.

PODRÓŻNY

(POWIEŚĆ KAROLA DICKENS)

przełożyła z angielskiego *M.*

— Niewiem nic panie Mutuel i nic o nim powiedzieć nie mogę. Zapewniam pana, że się zowie pan Anglik.

— Przepraszam panią, ale zdaje mi się, że to być nie może, rzekł pan Mutuel, człowiek stary, pochylony, zatabaczony, w okularach, trzewikach z materyi wełnianéj, z czapką sukienną opatrzoną daszkiem chroniącym od słońca, w surducie ciemno-szafirowym długim aż po kostki i w szérokim białym półkoszulku z odpowiednią krawatką. Kolor jego bielizny bywał śnieżnym w niedzielę, ciemniał jednak widocznie w ciągu tygodnia.

— Jest to niepodobieństwem moja droga pani Bomlet, czystém niepodobieństwem — powtórzył pan Mutuel, a stara i ujmująca fizjonomja jego, gdy się uśmiechał i mrugał oczyma w świetle jasnego poranka podobną była do skorupy orzecha włoskiego.

— Co? wykrzyknęła kiwając głową pani Bomlet kobieta małego wzrostu i dobréj tuszy, licząca z jakie lat 35. Czemużby to miało być niepodobieństwem? Spojrzyj pan tu i czytaj: na drugiém piętrze „*Monsieur l'Anglais*“ — czy nie tak?

— Tak jest — powiedział pan Mutuel.

— Dobrze więc. Przejdź się pan teraz, idź na spacer. Pani Bomlet pożegnała go poruszeniem ręki.

Pan Mutuel odbywał swą przechadzkę ranną po rynku staréj, ponuréj fortecy francuzkiéj i szukał miejsc najbardziéj słońcem ogrzanych, ręce podczas spaceru miał w tył złożone, i trzymał zwykle w jednéj ręce parasol co do kształtu całkiem do niego podobny, a w drugiéj ręce tabakierkę. Chód jego przypominał słonia. Stary jegomość codziennie się przewietrzał, jeżeli słońce świeciło, i naturalnie przewietrzał zarazem kawałek czerwonéj wstążki u surduta, bo czyż on nie był starym żołnierzem francuzkim?

Uśmiechnął się pan Mutuel również podobnie do skorupy orzecha włoskiego, gdy osoba należąca do płci anielskiéj kazała mu pójść na przechadzkę, a zdjąwszy czapkę ręką uzbrojoną w tabakierkę, trzymał ją długo w zawieszeniu, włożył ją dopiero po dłuższéj chwili, gdy się rozstał był z panią Bomlet, i zabierał się do przechadzki rannéj jak wypadało na człowieka tak pełnego galanteryi.

Pani Bomlet w swojéj rozmowie z panem Mutuel odnosiła się była do spisu mieszkańców, który jéj siostrzeniec utrzymujący księgi domu, a piszący jak anioł włożył był i umieścił pod bramą dla wiadomości policyi. Na drugiém piętrze: *Mr. l'Anglais, proprietaire.* Na drugiém piętrze „pan Anglik właściciel“, tak stało, wszak to było proste i zrozumiałe.

Pani Bomlet pożegnawszy pana Mutuel, wyszła na rynek, by spojrzeć do okien pana Anglika, a ponieważ on właśnie w téj chwili z okna wyglądał, ukłoniła mu się skinieniem głowy, popatrzała w lewo, popatrzała w prawo, jak gdyby się kogo spodziewała i weszła po chwili napowrót do własnéj bramy. Pani Bomlet wynajmowała cały front domu wychodzący na rynek, tak dół jak i piętra całkowicie umeblowane, ona zaś mieszkała od tyłu w podworcu, w towarzystwie swego męża pana Bomlet, (mającego wielkie zasługi co do gry billardowéj), browarni oddziedziczonéj, kilku kur, dwóch wozów, siostrzeńca, małego pieska we wielkiéj budzie, czterech koni, szpaleru winnego, kantoru, siostry zamężnéj mającéj udział w browarze, męża i dwojga dzieci téj siostry, papugi, bębna, na którym chłopczyk siostry zwykł bębnić, dwóch wkwaterowanych żołnierzy, licznych gołębi, piszczałki, na któréj siostrzeniec cudownie wygrywał, i kilku sług. Wieczny zapach kawy i rosołu panował w téj części domu, były tam liczne sztuczne skały i przepaści drewniane wysokości najmniéj czterech stóp, mały wodotrysk i pół tuzina dużych słoneczników.

Anglik wynająwszy pomieszkanie, lub jakby z naszéj strony kanału powiedziano, wynająwszy szereg apartamentów powiedział imię swoje co do litery *Langley,* ale ponieważ zwyczajem angielskim nie otwierał ust na obcéj ziemi zbyt szeroko oprócz w porę obiadową, nie umieli sobie tego w browarze inaczéj wytłumaczyć, jak *l'Anglais,* tak więc było i pozostał panem Anglikiem.

— Nie widziałem nigdy takich ludzi! mruknął Anglik wyglądając z okna, nic nigdy w życiu podobnego nie widziałem.

Prawdę mówił, bo nigdy dotąd nie był wyjechał ze swego kraju; ojczyzna jego była wprawdzie piękną wyspą, wielką wyspą, słynną wyspą, pełną rozmaitych zalet, i mógł się nią szczycić, lecz nie była ona wielkim całym, okrągłym światem.

Spoglądał po rynku napełnionym wojskiem, i rzekł sam do siebie: te chłopy nie są podobniejsze do żołnierzy jak... zdawało się, że nie mógł znaleść wyrazu dość silnego dla swego porównania, bo go nie dokończył.

I znowu ze stanowiska swego i doświadczenia miał słuszność za sobą, bo jakkolwiek w mieście i okolicy masa była wojska, mógłbyś wielką odbyć rewją i przypatrzeć się każdemu żołnierzowi z osobna, a szukałbyś napróżno żołnierza duszącego się własną krawatką dla głupiego jéj kraju, żołnierza kulejącego dla źle zrobionych butów, żołnierza pozbawionego władzy członków, bo skrępowanego guzikami i rzemykami bez liku, lub żołnierza jakby naumyślnie przymuszonego do niezgrabności w każdéj czynności i każdym ruchu jego, zobaczyłbyś raczéj chłopaków żwawych, czynnych, zręcznych, wesołych, skrzętnych, uwijających się ochoczo, do wszystkiego zarówno uzdatnionych, tak do oblężenia miasta, jak do gotowania kawy, do strzelby i do igły, do ćwiczeń z bronią ręczną i do obierania cebuli, równie gotowych do bitwy, jak do smarzenia jajecznicy.

Cóż za rój! Na rynku pod okiem Anglika kilku niezgrabnych jeszcze rekrutów z przeszłéj branki uczyło się mustry. Stany ich trwały jeszcze w stanie gąsienniczym, bo były pokryte bluzami chłopskiemi, podczas, gdy nogi ich w motyle przybory wojskowego stroju już były przybrane. Rynek cały i forteca, i kilka mil drogi zapylonéj po za jéj obrębem pokryte były wojskiem. Przez cały dzień po zielonych wodach fortecy uczący się żołnierze trąbili, przez cały dzień po suchych kątach fos fortecznych, ćwiczący się żołnierze bębnili, każdego ranka żołnierze wychodzili z koszar na plac przeznaczony do ćwiczeń wojskowych, posypany piaskiem, i tam skakali po koniach drewnianych, zawieszali się na linach, kołysali się po drągach równolegle umieszczonych, i oczyszczali się ze śladów błota, deszczu, kurzu. W każdym zakątku murów fortecznych, na odwachu, w każdéj bramie, na każdéj strażnicy, na każdym moście spuszczanym, i w każdéj fosie pełno było żołnierzy, a ponieważ całe prawie miasto składało się z wałów, odwachów, strażnic, bram, mostów i fos, a zatem całe miasto prawie tylko wojskiem było przepełnione.

Ale czémżeby to ponure, ciche, stare miasto było bez żołnierzy? kiedy ono i teraz wyglądało jakby pogrążone we wiecznym śnie, z którego czasem tylko, w dnie targowe, zwykło się przebudzać.

W dnie targowe dobroczynny czarnoksiężnik jakiś uderzał laską po bruku rynkowym i w jednéj chwili wznosiły się tam najładniejsze budki, kramiki i stragany, słyszałeś miły zgiełk kilku set głosów handlujących i targujących się, miałeś przed sobą widok najrozmaitszych jakkolwiek dziwnie pomięszanych kolorów — białe czépki — niebieskie bluzy — zielone jarzyny — i zdawało się, że przybył ów rycerz zaklęty, by tę fortecę, arcydzieło sztuki inżynierskiéj słynnego ongi Saubana ze snu ocucić. Liczne tłumy chłopów i chłopek długiémi niskiemi abjami przybywali na targ na osłach, lub wózkach zaprzężonych osłami, na wozach, brykach i bryczkach, pieszo, dźwigając kosze lub ciężary na plecach, lub téż w łódkach, płynąc rzeką pod murami fortecy. I otóż masz buty i trzewiki, i pierniki i materje, a tam w cieniu dostaniesz mleka i śmietany, masła i séra, a tu możesz nabyć owoców, cebuli i marchwi tak potrzebnych do przyprawiania rosołu; opodal mają drób i kwiaty i prosięta głośno protestujące, tam znowu mają łopaty, siekiery, motyki i rydle do pracy ogrodowéj, tam daléj są całe pagórki bochenków chleba i ziarno we workach, tam znowu lalki i bawidełka dla dzieci, a tam daléj sprzedają ciastka i zachwalają ten towar przy odgłosie bębnów. Słuchaj tam trąby grają, a w samym środku rynku zjawiła się *„Córka Lekarza"* w świetnym stroju, ubrana w złote łańcuchy i kulczyki, kapelusz niebieski z piórami, dwoma parasolami ze sztucznych róż zasłonięta przed promieniami słońca, które ją zbyt zazdrośnie podziwia. Stoi ona na wozie, a w około niéj czterech służących równie świetnie postrojonych wygrywają w trąby i cymbały i uderzają w bębny.

Ta słynna córka słynnego lekarza, posiada léki na wszelką chorobę, ból zębów, ucha, głowy, serca, żołądka, na słabość nerwową, febrę i mdłości. Ona córka lekarza, właścicielka ekwipażu, który właśnie podziwiamy, i służby, co tak świetnie wygrywa, radzi wam kupić te léki i używać je w sposób następny: Pierwszego dnia po zażyciu téj małéj flaszeczki przyjemnego smaku, szczególny wpływ jéj objawi się tylko uczuciem wesołości, któréj oprzeć się nie można, a niepodobna ją opisać, drugiego dnia dopiero, takie polepszenie nastąpi, że sądzić będziecie, żeście się przemienili w kogo innego. Trzeciego dnia wolni będziecie od wszelkiéj choroby jakiego bądź rodzaju lub trwania

i pobiegniecie szukać córkę lekarza, by jéj się rzucić do nóg i ucałować rąbek jéj szaty, i ażeby kupić więcéj tych małych flaszeczek, na ile tylko starczy całe mienie wasze, lecz nadaremnie! wy jéj nie znajdziecie, bo ona już natenczas zbierać będzie zioła u stóp Piramid egipskich, a wy choć wyleczeni, staniecie się pastwą rozpaczy. Córka lekarza żwawo woziła léki swoje, kupowano i targowano, i odzywały się głosy i błyszczały barwy, aż słońce zaczęło zachodzić zostawiając córkę lekarza pod cieniem wysokich dachów i przypominając jéj, że miała udać się na Wschód. I znowu czarnoksiężnik uderzył laską po bruku i znikły stragany, bułki i kramiki, i znikły towary i kosze i osły i ośle zaprzęgi, i wszystko co przybyło na wozach i pieszo, oprócz kilku chłopów z ciężkiemi wozami i chudemi końmi, co zbierali pozostałe śmiecie w asystencyi kilku gładkich gołębi miejskich, którym po każdym dniu targowym przybywało tuszy.

Anglik zaś wygląda z okna w dzień powszedni, nie targowy, patrzał na młodych żołnierzy uczących się mustry, cóż więc dziwnego, że myśli jego przybrały obrót wojskowy.

— Wszędzie tutaj żołnierzy kwaterują po mieście, przemówił sam do siebie, i czyż to nie jest śmieszne, przypatrywać im się, jak oni u obcych ludzi rozpalają ognie, gotują rosoły, piastują dzieci, kołyszą kolebki, spłukują jarzyny, i wszelkim nie wojskowym sposobem starają się być użytecznymi. Jest to arcyśmieszne, nie widziałem nigdy takich ludzi, nigdy w życiu. I w tém znowu miał słusznie. Wszak w tym samym domu, gdzie mieszkał służył Walenty u kapitana, pana kapitana Delacon, i czyż ten Walenty nie był zarazem służącym, pokojówką, kucharzem, piastunką i piwniczym? Ubierał kapitana, ubierał dzieci, mył podłogi, słał łóżka, chodził na kupno, nakrywał do stołu, robił satary, a wszystko równie zręcznie, za nim przynajmniéj to przemawiało, że służył u przełożonego. Ale czyż Hippolit wkwaterowany do kupca, kiedy był wolnym od służby, nie przesiadywał chętnie w sklepie, podczas, gdy kupcowa przebiegnęła do sąsiadki na gawędkę, i śmiejąc się sprzedawał mydło ze szablą przypasaną do boku? Czyż Emil wkwaterowany do kapelusznika nie obracał wieczorem maszyny, zdjąwszy surdut ze siebie. Czyż Eugieniusz wkwaterowany do blacharza, nie obrabiał jego ogrodu cztéry stóp szerokiego w podwórku za sklepem, z fajką w ustach wykopując owoc ze ziemi na kolanach w pocie czoła? Nie chcąc mnożyć przykładów, czyż Batiste wkwaterowany do biednego woziwody nie siedzi w téj chwili w progu trzymając pomiędzy wojskowemi nogami liche wiaderka woziwody, malując je na zewnątrz zielono, a na wewnątrz czerwono, a woziwoda wracając właśnie od studni z ciężarem na plecach zmęczony, uśmiecha się przejęty radością i dumą na ten widok.

A w oficynie chirurgicznéj czyż tam nie był kapral Teofil co....

— Nie, mówił Anglik spoglądając do oficyny, nie ma go tam w téj chwili, ale dziecko jest przecież.

Drobniutka dziewczynka stała na progu oficyny chirurgicznéj i patrzała się po rynku. Tak była malutka, że możnaby ją prawie niemowlęciem nazwać, nosiła przylegający czepeczek z białego płótna, jak zwykle noszą dzieci w prowincjach francuzkich, (podobnie jak dzieci na obrazach holenderskiéj szkoły) i sukienkę ze szafirowego płótna domowéj roboty, bez żadnéj formy, zebraną tylko we fałdy koło szyi. A ponieważ całe to stworzenie było drobne i okrągłe, wyglądała, jak gdyby wcale figury nie miała, i jak gdyby jéj tylko główkę przymocowali byli na wierzchu.

— Dziecko jest przecież.

Rączką tłustą, ozdobną dołeczkami, przecierała sobie oczy, jak gdyby te oczy właśnie ze snu przebudzone otwarły się były, a spoglądała z takiém natężeniem po rynku, że i Anglik spojrzał w tym samym kierunku.

— A — rzekł on obecnie, domyśliłem się, kapral nadchodzi.

Kapral liczący z jakie lat 30, postawy silnéj i zgrabnéj, może cokolwiek poniżéj średniego wzrostu, kapral opalony od słońca, z ciemną, spiczastą brodą, ukazał się właśnie w téj chwili mówiąc z rekrutem w tonie pouczającym go. Zwinny, żwawy, kapral, wyglądał doskonale, począwszy od czarnych oczu błyszczących z pod daszka jego czapki, aż do lśniących się białych gomaszów, prawdziwy wzór i obraz kaprala armii francuzkiéj w każdém poruszeniu.

Anglik spojrzał, dziecko spojrzało i kapral spojrzał, kiedy skończył rozmowę z rekrutem, a ten odszedł. Anglik zawołał: popatrzcież się dla Boga! A kapral idąc ku oficynie chirurgicznéj z otwartemi rękoma podniósł dziecko, potrzymał je nad głową swoją, kołysał go w powietrzu, upuścił je znowu na ziemię, pocałował i wszedł z niém do kamienicy.

Anglik w swym kraju pozostawił córkę, któréj się wyrzekł, bo popełniła błąd i była nieposłuszną. Czyż córka jego nie była ongi dzieckiem, i czyż on jéj nie kołysał tak nad głową swoją, jak kapral kołysał to dziecię przed chwilą?

— On jest głupcem, mówił Anglik i zamknął okno. Lecz okna pamięci i okna miłosierdzia nie tak łatwo zamknąć się dadzą, jak okna ze szkła i drzewa, one się otwierają niespodziewanie, i brząkają po nocy, trzeba je gwoździami zbić. Anglik starał się był o to, ale zdaje się, że gwoździe nie chciały trzymać, tak więc przepędził smutny wieczór i gorszą jeszcze noc.

Czy on był dobrym człowiekiem? Nie, mało posiadał łagodności, a téj się wypierał, bo ją uważał za słabość charakteru. Czy był porywczym i namiętnym,

gdy kto pobudził gniew jego? Bardzo, a przytem nierozsądny. Czy to przykry człowiek? Tak jest. Mściwy? Zdaje się, bo chciał przekląć córkę, tak jakto widział był w teatrze; lecz rozmyśliwszy, że niebo prawdziwe cokolwiek wyżéj położone, aniżeli niebo po nad świecznikiem teatralnym, dał spokój.

Wyjechał z kraju, by się na zawsze pozbyć córki, któréj się wyrzekł i takim sposobem tutaj się dostał. Zdaje się, że z téj tajnéj przyczyny zajęcie się kaprala małą Bebelcią dzieckiem z oficyny chirurgicznéj wzbudzało wstręt Anglika.

— Niechże go — wszak on nie jest jéj ojcem, mówił sam do siebie, w tych słowach atoli zawarte było żądło, które go ukłóło i humor jego jeszcze pogorszyło. Przezwał więc kaprala głupcem i postanowił nie zważać więcéj na to wszystko.

Lecz to nie poszło tak łatwo. Gdyby kapral, który nic o nim nie wiedział, znał był najskrytsze odcienia jego myśli, gdyby kapral, który był najgrzeczniejszym z ludzi, był kapralem najupartszym na całéj powierzchni ziemskiéj, nie mógłby się był z większą nieruchomością ustalić w samym punkcie środkowym myśli Anglika, zdawał się nawet nieustannie stawać mu przed oczyma.

Jeśli Anglik przystąpił tylko do okna, pierwsze zobaczył kaprala z Bebelcią, jeżeli wyszedł, spotkał kaprala idącego z dzieckiem na przechadzkę, jeżeli pospieszył do domu zrażony ich widokiem, oni już przed nim do domu przybyli. Jeżeli z rana wyglądał bocznemi oknami, widział w podwórku chirurga kaprala myjącego, czeszącego i ubierającego Bebelę, jeżeli się schronił do okien frontowych, zobaczył kaprala jak wynosił śniadanie na rynek i podzielał je z Bebelcią. Wszędzie kapral i wszędzie Bebelcia, nigdzie kapral bez Bebelci, nigdzie Bebelcia bez kaprala.

Pan Anglik nie był bardzo biegłym co do języka francuzkiego, jako środka komunikacyi ustnéj, chociaż rozumiał i czytał dobrze po francuzku. Z językami jak z ludźmi łatwo podpadamy nieporozumieniom, jeżeli je tylko znamy z widzenia, trzeba umieć mówić, by się ucieszyć bliższą znajomością. Musiał więc nasz Anglik tego biodra opasać, zanim był w stanie rozmówić się z panią Bomlet o kapralu i dziewczynce.

Jednego dnia przyszla pani Bomlet, by go przeprosić, że lampiarz dotąd powierzonéj mu lampy nie naprawił, była niepocieszoną, ale ten lampiarz był to człowiek, na którego cały świat się skarżył. Anglik skorzystał ze sposobności.

— Pani to dziecko?

— Przepraszam pana lampa.

— Nie, nie, ta mała dziewczynka.

— Ależ przepraszam, rzekła pani Bomlet usiłująca złowić objaśnienie, wszak nie można małéj dziewczynki zaświecić, lub posłać ją do naprawy.

— Ta mała dziewczynka w domu chirurga.

— Ah-h-h! zawołała pani Bomlet myśl jego nagle podchwytując idealną wędką swoją. Mała Bebelle? tak, tak, tak, i jéj przyjaciel kapral, tak, tak, prawda, że to bardzo ładnie z jego strony?

— On nie jest....

— Wcale nie, wcale nie, nie jest jéj krewnym, bynajmniéj!

— Dla czegóż więc?...

— Pan masz słusznie — zawołała znowu pani Bomlet, bardzo to ładnie, że się nią tak zajmuje, a tém ładniéj, że wcale nie jest z nią spokrewniony, jak pan powiadasz.

— Czy ona jest....

— Dzieckiem chirurga? Pani Bomlet znowu założyła zręczną wędkę swoją — nie nie, ona jest dzieckiem — jednèm słowem niczyjém.

— Więc żona chirurga?

— Niezawodnie, jak pan powiadasz, żona chirurga pobiera skromną płacę, by miała staranie o nią — tyle co miesiąc — jest to zapewne bardzo mało, ale my tu wszyscy biedni.

— Pani nie jesteś biedną.

— Staram się moim mieszkańcom dogadzać — odparła pani Bomlet z uśmiechem i ukłonem, zresztą mam się bardzo miernie.

Pewne rybie ruchy ust Anglika poczynały wskazywać, że mu znowu z trudnością przychodziła rozmowa. Pani Bomlet więc obserwując go ściśle, znowu delikatną wędkę swoją założyła z powodzeniem zwycięzkiém.

— O nie panie, żona chirurga nie jest okrutną dla biednego dziecka, ale jest niedbała. Siedzi ona cały dzień przy oknie, i oknem wygląda, bo jest bardzo słabowitą, kiedy więc kapral przybył na kwaterę, dziecko było bardzo zaniedbane.

— Dziwném jest — począł Anglik.

— Że się Bebelle zowie, i w tém pan masz słusznie, jest to spieszczenie imienia Gabriela.

— Więc to dziecko jest tylko kaprysem żołnierza, rzekł Anglik szorstko i pogardliwie.

— Cóż pan chcesz? odpowiedziała pani Bomlet poruszając ramionami, każden z nas musi mieć coś, coby lubił, serce ludzkie jest słabém.

— Djabelnie słabe, mruknął Anglik w swym własnym języku.

— Kapral wkwaterowany do chirurga, dodała pani Bomlet, gdzie zapewnie długo zostanie, bo jest dodany do służby jenerałowi, znalazł to biedne, opuszczone dziecko, a widząc, że ono potrzebowało kogo, coby je pieścił, przywiązał się do niego, nie mając sam nikogo na świecie — tak to wszystko przyszło.

Pan Anglik przyjął to tłómaczenie ozięble i obojętnie, i powiedział, kiedy znowu był sam na sam ze

sobą: Wcaleby mnie to wszystko nie obeszło, gdyby tylko ci ludzie nie byli tak sentymentalni z natury.

(Dok. nastąpi.)

Dziewczę i wianek.

Uwity wianek — wianek godowy
Ozdobi wkrótce jéj skronie —
Z białemi kwiaty wianek mirtowy
Na jasném czole zapłonie!...

W oku dziewczęcia łezka błysnęła
I smutnie patrzy na kwiaty,
Westchnęła — dziwnie ciężko westchnęła,
Łza padła na ślubne szaty!...

A wianek szepcze cicho dziewicy:
O porzuć łzy i westchnienia,
Wszakże już koniec twojéj tęsknicy,
Wszakże spełnione marzenia!...

Otrzyj łzy twoje, rozjaśnij czoło,
I śmiało wstąp w nową drogę,
Wszak wonne róże kwitną wokoło,
Więc porzuć troski i trwogę!...

A dziewczę smutnie główkę schyliło,
Patrzy na ojców swych chatkę,
Wszakże opuścić trzeba jéj było
Ojca i braci i matkę!...

Więc modre oczka łzami zachodzą,
I skroń opiera na dłoni.
A wdzięczne usta skargę zawodzą;
Strwożone serce ją roni.

„Bywajcie zdrowe rodzinne sioła,
„Pola i łąki i gaje,
„Daleko od was Bóg mię dziś woła,
„Już ja się z wami rozstaję!...

„Żegnajcie moje drużki dziewicze,
„Ptaszki i kwiatki kochane,
„Żegnam was lube piosnki słowicze,
„Blaski księżyca srebrzane!...

I czyste łezki jéj płyną strugą,
A wianek wciąż jéj coś śpiewa,
Aże jéj dusza modlitwą długą,
Wzniosła się z wiarą do nieba!

G.... P.

O zachowaniu wzroku

przez

Dr. Wojciecha Wolka.

(Ciąg dalszy.)

Wspomnę na tém miejscu nieco o zézowatości.

Już powiedziałem, że to zapalenie oczu pryszczykowe pozostawia na rogówce większe lub mniejsze ściemnienia téjże, zatém oko mające taką plamkę na rogówce, nie może widzieć wyraźnie, a jeżeli drugie oko zostało nietknięte, wtedy i tak widzenie obydwoma oczami będzie niedokładne.

W takim razie przyroda w ten sposób radzi sobie, że wyklucza słabe oko ze wspólnego widzenia, tak, że oba oczy patrzą, lecz tylko jedno widzi, oczywiście zdrowe.

Wykluczenie takie z początku jest trudném, lecz z czasem udaje się zupełnie, a wzrok oka chorego, odwykając od bystrego widzenia, tępieje.

W ciągu czasu ściemnienie rogówki może się wyjaśnić, lecz siatkówka już stępiała i oko takie będzie mieć trwałe osłabienie wzroku.

Jeżeli zaś wykluczenie jednego oka ze wspólnego aktu widzenia bardzo jest trudném, a chory sili się przecież, by słabém okiem mógł widzieć dokładnie i bystro, to wtedy oko słabe zwraca się nagle na bok — bo wiemy, że chcąc widzieć dokładnie drobny jaki przedmiot, to musimy go zbliżyć do oczu, a wtedy oczy muszą być skierowane na wewnątrz, tj. zbieżnie; ruch ten gałki oka wykonuje mięsień prosty wewnętrzny, gdy zaś tenże jest zwykle najmocniejszy, to przy powiększoném natężeniu nabierze on przewagi i zwróci oko słabe na wewnątrz.

Takim to sposobem powstaje zéz.

O innych rodzajach zézu nie mogę mówić, bo musiałbym przekroczyć rozmiary założenia mojego; lecz jeszcze pokrótce nadmienię o innych przyczynach, usposabiających do zézu: i tak powszechném jest mniemaniem, że u małych dzieci łatwo zéz powstaje, jeżeli swoją uwagę zwrócą na jakiś bardzo zajmujący przedmiot, na który z boku patrzyć muszą; albo jeżeli niańka ustawicznie tylko na jedném i tém samém ramieniu nosi dziecię, które chcąc widzieć przed sobą przedmioty, musi oczy mocno na bok skierować; następnie utrzymują, że chwilowe naśladowanie zézującego, może także wywołać zéz stały.

Po konwulsjach także nieraz powstaje zéz, a może być także i z urodzenia, jednak bardzo rzadko.

Wiedząc przyczyny zézu, można mu z łatwością zapobiedz. Jeżeli dziecię, mając usposobienie do zézowatości, czasem zézem spojrzy albo się bezmyślnie zapatrzy, to proste napomnienie lub zawołanie po imieniu wystarczy do zwrócenia oczu jego w dobry kierunek.

Wspomniałem, że wzrok w zézującém oku tępieje wskutek odwyknięcia i wykluczenia ze wspólnego widzenia, aby jednak nie straciło bystrego wzroku, należy zmuszać go do widzenia, zasłaniając lub zawiązując oko zdrowe.

Takie ćwiczenia należy powtarzać co dzień kilka razy, aż się wzrok dokładnie zaostrzy.

Zéz można wyleczyć za pomocą stósownych szkieł, lub za pomocą właściwéj operacyi, osłabiając ten mięsień, który ma przewagę w swém działaniu.

Nadzwyczaj ważne jest zachowanie się dzieci w początkach nauki i od niego to nieraz zależy cała przyszłość i późniejszy zawód.

W tym bowiem czasie zwykło powstawać krótkowidzenie, które prócz swego chorobliwego stanu, ma w codziennem życiu rozliczne niedogodności, wywołuje w swém rozwoju bardzo złe skutki, a częstokroć nawet zupełną ślepotę.

Do zrozumienia tego podam ogólny pogląd na budowę oka prawidłowego, dalekowidzącego i krótkowidzącego.

Aby przedmiot jaki wyraźnie widzieć, to promienie światła wychodzące od tegoż przedmiotu muszą w oku po złamaniu się paść na owe wiadome miejsce najbystrzejszego widzenia, a więc: Oko krótkowidzące koniecznie chorém uznać należy.

Stan jego bowiem jest anatomicznem przedłużeniem się, polegającém na chorobliwém wydęciu osłon oka.

Zobaczmy, co to za przyczyny wywołują takie wydęcia oka, a więc krótkowidzenie.

Krótkowidzenie może być z urodzenia, tj. dziedziczne, lub téż nabyte.

Najgłówniejszą przyczyną nabytego krótkowidzenia jest zmuszanie oczu do patrzenia na przedmioty małe a bliskie, np. na pismo.

Jeżeli więc dajemy dzieciom książki z drobnym drukiem, lub pozwalamy pisać drobném i gęstém pismem, wtedy dzieci szczególnie podczas niedostatecznego światła zmuszone są schylać głowę i przybliżać oczy do przedmiotu, aby mogły wyraźnie widzieć — przez takie więc nachylenie głowy powiększa się nawał krwi do głowy, a tém samém i do oczu, a w dalszym skutku tego podwyższonego ciśnienia śródocznego, powstaje wydęcie osłon oka i krótkowidzenie.

Oczywiście nie stanie się to za jeden dzień, lecz w ciągu czasu kilku lat.

Szkodliwém złém usposabiającém do krótkowidzenia są szkoły, a mianowicie złe, niestósowne i nieproporcyonalne urządzenie ław szkolnych, bo rozmiary ich nie są odpowiednie do wysokości dzieci.

Odstęp bowiem płyty stołowéj od ławki jest za wielki, a dziecię chcąc czytać lub pisać, nie może prosto siedzieć, lecz musi się pochylić i oprzéć o stół.

Naturalném następstwem takiego nachylenia się, będzie za nadto wielkie zbliżenie oczu do książki, a więc zmuszanie oczu do patrzenia z bliska, tudzież nawał krwi do głowy, dodajmy jeszcze do tego niedostateczne światło, to będziemy mieć bardzo sprzyjające przyczyny do nabycia krótkowidzenia.

Szkoła budząc i kształcąc rozwój umysłowy, nie powinna przygnębiać rozwoju fizycznego, tém mniéj nie powinna wpływać szkodliwie na stan zdrowia dzieci.

To udowodnione złe powinno być rychło usunięte; we wszystkich szkołach powinny być zaprowadzone poprawne ławki, w którychby dzieci prosto siedzieć mogły, a światło powinno być dostateczne — okna powinny być co najmniéj 80—100 cali tj. 8 stóp wysokie, a 50—60 cali tj. 5 stóp szerokie.

Uczące się dzieci mają nierównie większą potrzebę dobrego i dostatecznego światła, niż dorośli, których organizm silniejszy, łatwiéj oprzeć się zdoła szkodliwym wpływom, niż dzieci w rozwoju będące, bo jeżli już w młodym wieku zepsują sobie wzrok, to oczywiście, nie tylko, że dalsze kształcenie się jest niepodobne lecz jakaż ich czeka przyszłość?!

Niedostateczne światło w szkole należy im wynagrodzić w domu, i to w dzień wszelkie lekcje odbywać się powinny tuż przy oknie, tak, by światło wpadało z lewéj strony i z góry, wieczorém sztuczne oświetlenie powinno być dobre i stósownie umieszczone, tj. tak, by nie świeciło prosto w oczy, jak to się przy świecy dzieje, która prócz tego złego, daje mało światła, a więc i dla studentów będą korzystniejsze wysokie lampy, niż łojówka.

Urządzenie siedzenia dzieci przy nauce tak w domu jak i w szkole powinno mieć takie rozmiary:

1. Ławka czyli krzesło, na któréj dziecię siedzi, ma być tak wysokie, jak długie jest przedudzie, tj. od kolana do ziemi.

2. Stół powinien być tylko jeden cal wyższy od wysokości łokcia siedzącego dziecka.

3. Krzesło lub ławka ma być o tyle wsunięte pod stół, o ile tego wymaga wygodne siedzenie.

Takich rozmiarów wymagają względy hygieniczne, bo wtedy dziecię nie naraża się na skrzywienie stosu pacierzowego, ani téż na krótkowidzenie.

Tą sprawą zajęły się już wszystkie kraje, w których szczerze dbają o podnoszenie się szkół.

U nas wiadomy mi jest tylko jeden zakład, w którym poprawne ławki urządzono, mianowicie w gimnazjum realném żeńskiém pani Selingerowéj we Lwowie.

Wspomniawszy o wadliwém urządzeniu szkół, nie mogę się wstrzymać od przytoczenia ustępu pana La boulaye, z dzieła jego: „Paryż w Ameryce“.

„Paryżanin przeniesiony do Ameryki, znajduje urządzenie nowego świata wedle innych zasad, i dziwi się, że wszystkie stosunki społeczeńskie są tamże daleko lepsze, niż w Europie; przychodzi ze swoim przewodnikiem Amerykaninem na wzgórek panujący nad miastem i okolicą, gdzie wznosi się wspaniały i okazały budynek, składający się z kwadratowéj wieży z dwoma skrzydłami.

Gdybym się znajdował w Europie w kraju tak cywilizowanym, powiedziałbym:

To pewnie koszary 'żandarmów, albo pałac prefektury, u ludu zaś istniejącego bez policyi i rządu, był to pałac abecadła, tj. szkoła!"

Po tych gmachach można sądzić o narodzie.

Muszę jeszcze pomówić kilka słów o wpływie powietrza i światła, jakiemu podpada oko, stosunkowo niedostatecznie ochronione, a jednak na te wpływy bardzo wystawione.

Powietrze i światło działają na wzrok nie zawsze dobroczynnie, mogą przecież szkodzić oczom i szkodzą bardzo często, a chociaż wpływ ich szkodliwy, na razie jest wcale nieznacznym, to przez częste powtarzanie się zgubnym być może dla oczu.

Drogi, na jakich oba te czynniki działają, tudzież części, których to działanie dotyczy, są zupełnie różne.

Powietrze działa bezpośrednio na spojówkę, tj. błonkę śluzową, wyścielającą wewnętrzną powierzchnię powiek i widomą część galki oka drażniąc jéj nerwy.

Jak rozliczne są tam nerwy i do jak wielkiego stopnia rozdrażnienia dochodzą, to już każdy wie, komu w oko wpadło ziarko kurzu lub piasku.

Lecz niebezpieczeństwo wiatru nie polega jedynie na tym przykładzie namacalnym, szkodzi on i tém, że pozbawia oko potrzebnéj wilgoci, któréj brak daje się poznać przykrém uczuciem suchości, szczególnie przy poruszaniu oka.

Działanie wiatru jest tylko przypadkowém i przemijającém, lecz trwałém złem jest za nadto suche powietrze w mieszkaniach.

Lekarze od dawna i nieraz podnosili już tę okoliczność, że dla utrzymania zdrowia powietrze w mieszkaniach powinno mieć także i pewien stopień wilgoci, a to doświadczenie wyciągnięto wprawdzie z pewnego chorobliwego stanu płuc, lecz i dla oczu da się to zastósować.

Jak ważną ta okoliczność jest dla oczu, pouczają nas długotrwałe zapalenia oczu, tudzież straszne epidemie między wojskiem grasujące — tak nazwane egipskie zapalenia oczu, a przyczyn tegoż nie będziemy już dziś szukać w pustyniach afrykańskich, lecz w koszarach przepełnionych i źle przewietrzanych.

Takie za nadto suche powietrze pokojowe bywa także nie raz w prywatnych mieszkaniach, zwłaszcza w zimie, i daje się we znaki dzieciom szczególnie.

Powietrze bywa często zanieczyszczone różnemi wyziewami ostremi, amoniakalnemi i kloakowemi, tudzież w przeludnionych mieszkaniach, jakotéż w fabrykach i różnych pracowniach.

Tu szczególnie o dobre przewietrzanie dbać należy, tém więcéj, że się późno w noc zwykle pracuje.

Kto zaś wystawiony jest na działanie wiatru, kurzu i ulicznego pyłu, ten powinien często przemywać sobie oczy wodą zimną, nie za nadto zimną, lecz wystałą.

Przemywanie ciepłą wodą jest nie dobre, bo błona śluzowa traci swoją tęgość, jest wtedy na wpływy zewnętrzne wrażliwą i więcéj do zapaleń usposobioną.

Jeżeli wpadnie w oko muszka, ziarnko piasku itd. to trzeba wtedy górną powiekę odwrócić i końcem chustki obce ciało zdjąć, a rozdrażnienie oka zimnémi okładami uśmierzyć.

Nie mogę tu pominąć jednego bardzo szkodliwego zanieczyszczenia powietrza, a tém jest dym tytuniowy, który istotnemi obłokami wypełnia izby lub sale towarzyskiego pożycia, jak np. szynki, kawiarnie, restauracje, i potrzeba podziwienia godnéj, prawdziwie upartéj wytrwałości i zaparcia się zupełnego, by w takiéj atmosferze dzień w dzień kilka przepędzać godzin, narażając się lub niezważając na szkodliwe skutki, jakie taka przyjemność sprawia.

Do usunięcia zapalenia oczu powstałego z téj przyczyny, wystarcza najczęściéj unikanie jéj; jeżeliby zaś kto sądził, że dostał zapalenie dla tego, iż pali cygaro bez cygarniczki, a więc palić może z cygarniczki, lub na długim cybuchu — ten się bardzo myli, bo tu nie palenie tytuniu szkodzi, lecz pobyt w atmosferze zadymionéj.

Na ulicy, w ogrodzie, w ogóle na wolném powietrzu nie narażamy się na to.

Mówiąc o tytuniu, muszę przy téj sposobności nawiasowo wspomnieć, iż lekarze badając różne przyczyny osłabienia wzroku i ociemnienia, uznali, że nałogowe palenie tytuniu sprawia pewien rodzaj zatrucia tytuniowego, działającego na nerwy, a szczególnie na nerw wzrokowy.

W takiém oku nie można wyśledzić prawie żadnéj zmiany chorobowéj, a przecież bardzo mało lub wcale nic nie widzi.

W zapaleniach oczu z powodu zepsutego powietrza wynikłych, lub w stanie chorobliwym podtrzymywanych, można sobie samemu zaradzić, stósowném zachowaniem się po prostu, wystrzegając się wiadomych szkodliwych wpływów — wtedy każdy obejdzie się bez lekarza i niepotrzebuje się nawet uciekać do cudownych wód i balsamów na oczy, o których w każdym dzienniku

na ostatnićj stronnicy tyle sławnych skutków się ogłasza.

Na szczęście wszystkie te cudowne wody są dość niewinne, lecz już często tém szkodzą, że równie jak i wszystkie inne środki tajemne, daleko więcéj przyrzekają, niż stosunkowo do swoich części składowych zdziałać mogą, najwięcéj zas szkodzą tém, że opóźniają właściwe leczenie.

Nie potępiam jednakże tych środków zupełnie, bo to są po największéj części nalewy lub wymoki ziół wonnych, które mogą mieć dobre skutki, szczególnie w lekkich przewlekłych zapaleniach kataralnych, na polepszenie jednak wzroku nic nie działają, szumne więc ogłoszenia o ich nadzwyczajnie zbawiennych i cudownych skutkach, są tylko obliczone na wyzyskujące obałamucenie publiczności, bo śmiało powiedzieć mogę, że one jeszcze nikomu wzroku nie przywróciły.

Powietrze działa więc szkodliwie na oko za pośrednictwem spojówki, a więc pośrednio, światło zaś wpływa na czynność tego zmysłu wprost, czy to dobroczynnie czy szkodliwie.

Wpływ szkodliwy ograniczać się może na sam nerw wzrokowy, mianowicie na jego rozpostarcie się w oku, tj. na siatkówkę, lub też wywołuje zarazem chorobę i w innych częściach składowych, lecz wtedy już za pośrednictwem mózgu, albowiem prócz siatkówki żadna część nie jest zdolną do oddziaływania na światło, tj. nie jest na światło czułą.

Przedewszystkiém ważną jest ilość światła działająca w pewnym czasie, jakiéj właśnie oko do swéj prawidłowéj czynności potrzebuje, i która nie ma być ani za wielką, ani też za małą.

Przekroczenie téj miary daje się uczuć w krótkim czasie, a często nawet już w téj chwili jako olśnienie, które wystąpić może jako ból skutkiem przedrażnienia, i jako niewyraźne widzenie; nie zawsze jednak pojawiają się oba te przypadki jednocześnie.

Częstokroć zamiast bólu, mamy wtedy mniéj więcéj nieprzyjemne uczucie prędkiego zmęczenia oka, w skutek przedrażnienia zmysłu widzenia, przy czém zamknąwszy oczy, widzimy iskry albo rozmaite barwy.

Takie zmęczenie oka może znowu mieć dwojaki skutek, tj. przytępienie wzroku czyli nieczułość na zwykłe światło, lub przeciwnie nadzwyczajna drażliwość i światłowstręt, tak, że przy zwykłém świetle nie podobna patrzeć bez bólu.

Stan przedrażnienia czyli olśnienia występuje zresztą tak nagle, że nawet zuchwały oprzeć się mu nie zdoła.

Daleko gorszym i szkodliwszym jest wpływ niedostatecznego światła, a skutek jego będzie znowu nieprawidłowa nadczułość oka, co naturalnie tylko w ciągu czasu nastąpi, bo oko przyzwyczajone do ustawicznego mroku, odwyknie zwolna od dziennego światła, a gdy raz wyjdzie na zwykłe światło, to już będzie olśnionćm i znieść go nie potrafi.

Nie raz mieliśmy już tego smutne przykłady na więźniach, którzy siedząc w lochach i piwnicach czas długi, nie widzieli nigdy ożeźwiającego promienia słońca, a wyszedłszy z więzienia, nie mogli znieść światła, i zapadali na ciężkie i długotrwałe choroby oczu, a częstokroć nawet tracili wzrok na zawsze.

Światło jako jedyna i niezbędna podnieta nerwu wzrokowego, utrzymuje także w pewném znaczeniu jego życie.

Tak jak mięsień zwiędnie i zaniknie, który długi czas pozbawiony był wszelkiego ruchu, tak samo i nerw wzrokowy obumiera, jeżeli mu się odejmie właściwy jego środek do życia, tj. światło.

Dla zdrowego oka jest zwyczajne światło dzienne prawidłową podnietą, i wtedy tylko zdolne bez wysilenia czynność swą odbywać.

Z tego więc powodu tak samo źle jest natężać oczy podczas zmierzchu usilując czytać, pisać lub w pokojach zacienionych ciemnemi firankami lub storami w dzień pracować, jako też bardzo niebezpieczném i niemożebném jest pisać, czytać lub też zajmować się jaką delikatną pracą w samém świetle słoneczném, czy ono działa wprost, lub czy jest odbite.

(Ciąg d. n.)

O UMARŁÉJ.

(Musset r. 1842.)

Piękną była — jeżeli Noc śpiąca,
Gdzie Michał-Anioł postawił jéj łoże
W kaplicy zimnéj, z zimnego marmuru;
Jeźli nieruchoma, piękną być może.

Dobrą była — jeżeli przechodząc
Rozrzucać datki, nazywa się cnotą,
Czego Pan-Bóg nie widzi i nie wie;
Jeźli jałmużną — bez litości złoto.

Ona myślała — jeźli próżne brzmienie
Głosu, co słodki i równy i gładki,
Zda się jak strumień, który sobie wzdycha;
Jeźli to myślą — takie głosu spadki.

Ona modliła się — jeźli ócz dwoje,
Które ku ziemi schylają się z trwogą,
Albo się wznoszą i w niebiosy lecą;
Jeźli modlitwą nazywać się mogą.

Mogła się rozśmiać — jeżliby kwiatek,
Który się jeszcze z pączka nie rozwinął,
Mógł się otworzyć dla świeżego wiatru,
Który przeleciał, zapomniał go, minął.

Mogła zapłakać — jeżliby ta ręka,
Która na sercu jéj chłodno spoczywa,
Uczuła kiedy w wnętrzu ludzkiéj gliny
Niebieską rosę, jak do niéj przypływa.

Mogła pokochać — jeżeliby duma,
Która jak lampa, co bezużytecznie
Przy katafalku migocze się, pali;
W jałowém sercu nie czuwała wiecznie.

Ona umarła, a nie żyła wcale,
Pozory życia, to było jéj wiano;
Z jéj drobnych rączek już wypadła książka,
Na któréj czytać nie było jéj dano.

alf.

ZWROTKA.

(Z Berangera.)

Chodziłem częściéj na świeży grób
Niżli na chrzest, albo na ślub —
Gdy ludziom serce od bólu się kraje,
Ulgę im niosę i uśmiech im daję.

Pięknýś mi posag dał o Boże mój:
Nie mam mądrości, ni siły na bój,
Aleś mi za to dał wesołość tę,
Która nie raniąc smutku, koi łzę.

alf.

Rachunki z r. 1867 przez *Bolesławitę*. — We wstępie do powieści swojéj Tułacze, wymyślił Bolesławita legiendę: Chrystus w postaci wędrownego dziadka obchodzi cały świat. Ameryka, Anglja odpychają go, to kraje przeklęte, zmaterjalizowane — do Francyi z obawy władzy tajnie go szwarcują, Turcja, Szwajcarja znajdują się jeszcze nie źle, Rzym starannie omija — ale w końcu jedna tylko Polska, kraj wybrany, przyjmuje go, chociaż nie ma paszportu i mimo obawy kibitkowego dzwonka, do swojéj ubogiéj chaty. Otóż teraz w nowych rachunkach ten sam kraj wybrany przedstawia nam Bolesławita znowu inaczéj jako Sodomę i Gomorę, gdzie zupełny upadek, samolubstwo, dokoła ruiny, a na gruzach zbytek i rozpusta, rodzina rozprzężona, potargane najświętsze węzły, utracony wstyd! To jest założenie, które ma być dwoma tomami udowodnione. I mają to być rachunki całoroczne — tytuł pretesjonalny, księga narodu! Tymczasem cóż widzimy? oto zgryźliwy humor, spracowany umysł, zgorzkniałe serce spisuje sobie bez ładu i składu, bez rachunku! rozmaitości z całego roku. Zgodzimy się z autorem kiedy woła: „Precz ze świętego gniazda! wyrzucić potrzeba i wyświecić po średniowiecznemu z grodu i gminy: samolubów, samochwalców, trutnie a próżniaki, malowanych aktorów poświęcenia, warcholów, co sieją niezgodę, papinków, co przejadają krew macierzyną na cukierki, utracjuszów, wyrodków i wyrzutków... szumowiny od góry i brudne drożdże od dołu“! I wiemy to wszyscy, że po upadku ostatniego powstania nie ma naród, ani wytkniętego programu, ani jednego człowieka, któremuby ufał, że gubi się w prowincjonalnych kramarstwach, że wobec siebie i wobec świata spadliśmy nisko. Ale z tém wszystkiém kto śmie powiedzieć, że biały orzeł skonał? Czyż niesłychany hart i męki w zaborze rosyjskim nie są nam potężnėm świadectwem życia i posiewu przyszłości? czyliż sztuka polska, malarstwo, Matejko, Grotger — ta piastunka dzisiaj narodowéj myśli, to płód trupów i gangreny? Żle jest, woła Bolesławita — prawda, źle — to téż pragnęlibyśmy, skoro się podjął rachunków, aby wykazał złe, ażeby wykazał wszystko od samolubów aż do drożdży, zestawił, obliczył — aby poszukał dobre, i porównał, aby udowodnił, jaki rezultat z obrachunku — co porzucić, czego się chwycić, co przekląć, a na co przysięgę złożyć; aby utwierdził sztandar i wezwał do skupienia się na około niego. To byłyby rachunki! ale to nie Bolesławity rzecz. On sobie wygodniéj poradził. Spisuje kronikę, silva rerum — mnóstwo tam szczegółów cennych i wytrawnych, ale niemniéj i plewy — niemniéj i słabości, grzeszków i śmieszności, które trybunałowi rachunkowemu wcale nie przystoją. A jako silva rerum, to bardzo niedokładna — boć jeżeli z rachunków narodu! dowiadujemy się np., że ktoś tam miastu darował sklep — to należało również unieśmiertelnić np. i bal u burmistrza i polemikę o to „Czasu“ z „Dziennikiem poznańskim“, awantury maskaradowe we Lwowie, kąpiele szampanowe w Warszawie, hazardy karciane na jarmarkach końskich, pojedynki w Krynicy itd. — a jeżeli w nekrologii rachunków narodu! czytamy np., że tam komuś umarła żona — to przecież sprawiedliwość wymagała, żeby wziąść spisy zmarłych z wszystkich gmin i uraczyć nas niemi! A jaka lekkomyślność w wydawaniu sądów, jaka odwaga sądzenia o rzeczach, o których sam mówi, że ich ani widział, ile uprzedzeń. O polityce zamilczymy, wiadomo, że to najsłabsza ze słabych stron Bolesławity — lubo na wiele uwag zgodzić się trzeba — nie ma jednak więcéj co mówić o tém — nie daje nam autor żadnego politycznego programu — a są to rachunki.

Jego namiętne traktowanie Rosyi, to krzyk serca — i jako przed takim cześć, *chapeau bas!* — ale to prze-

cież nie polityka!!! Rozdziały o wychodźtwie są najlepsze i mają wartość historyczną — rozdziały o literaturze i sztuce, to zdawałoby się właściwe pole autora. Ileż tu jednak mimowolnych petitesses, jakie uprzedzenia i doktrynerstwo — i znowu obok przytaczania paszkwilów na Matejkę — wysławianie mierności. Słowem, rachunki te nie są rachunkami, ale zaledwo cząstką czynności rachunkowéj, nagromadzeniem pewnych danych z przymieszką ilości bez znaczenia, i jakeśmy powiedzieli wielce ciekawą silva rerum i materjałem; nic ponadto.

Wydając to surowe zdanie musimy w końcu wykazać, że o stronniczość posądzać nas nie można, bo owszem własny interes nakazywałby nam raczéj ogłosić te rachunki jako ewangielją. O piśmie naszém wyraża się bowiem Bolesławita jak najpochlebniéj i nazywa nas apostołami w ziemi odrętwienia i obojętności. Mimo to musieliśmy przy ocenieniu książki jego pamiętać na przysłowie: przyjaciel Plato, ale większą przyjaciółką prawda!

Na międzynarodową uroczystość odsłonięcia jubileuszowego polskiego pomnika w Szwajcaryi przybyło do 500 gości. Z nadesłanych nam opisów wyjmujemy następujące szczegóły: W sobotę wieczór 15 sierpnia odbyła się już mała przedwstępna uczta pod przewodnictwem profesora Duchińskiego. Z zapałem powitano PP. Henri Martin historyka, Kinkla emigranta niemieckiego, włoskiego deputowanego Ferrari itd. — w mowach podnoszono, że sprawa Polski jest sprawą świata i cywilizacyi. Nazajutrz Rapperswyll miasteczko nad jeziorem Zürichskiém przedstawiało świąteczny ruch, powiewały chorągwie czerwone z białym orłem, lub białym krzyżem, a jak gdyby Szwajcarowie dążyli do jeszcze świetniejszych ideałów wolności powiewały i olbrzymie bandery z gwiazdami północnéj Ameryki; domy ubrano w zieleń i dywany. Przed hotelem *de Cigne*, gdzie miał być bankiet, roiły się tłumy ludzi. Na tarasie niedaleko hotelu, zkąd widok na jezioro i Glarnisch, obrano miejsce dla pomnika. Przed południem przybyła część gości z Zürichu pod przewodnictwem hr. Platera — oprócz wymienionych już byli tam jenerał Percel z Węgier, z redakcyi *Siécla Laforge*, z Debatów *Lemoinne*, z La Presse *Andrioli*.... O czwartéj wśród salw z moździerzy przybył statek z resztą gości. Pochód ruszył do hotelu śpiewając: *„Jeszcze Polska nie zginęła"* i *„Boże coś Polskę"*, a orszak kobiet wtórował. Po przedstawieniu gości ruszono na tarasę. Na czele cudzoziemcy, komitet i weterani z r. 1831, tułacze z r. 1863 i delegaci z kraju w ubiorach narodowych. Delegacje te składały się: p. Danielewski na Prusy zachodnie, mianowicie ziemię Chełmińską, Henryk Szmidt z Tow. demokr. lwowskiego, Dr. Kamiński ze Stanisławowa, pp. Dr. Jarocki i Majewski z Tarnowa, Dr. Semilski z Kołomyi, Elżanowski z emigracyi w Paryżu.... Szli oni niosąc sztandar przywieziony z Galicyi — biały orzeł na malinowém polu i napis: *usque ad finem* — aż do końca.

Otwierały pochód 5 dziewcząt biało ubranych z czerwonemi szarfami, a daléj szła straż ogniowa rapperswylska. Zagrzmiały armaty, dziewczęta zapomocą sznurów spuściły zasłonę z pomnika — towarzystwo śpiewu zawtórowało: *„Jeszcze Polska nie zginęła"* po niemiecku — i pomnik okazał się w całéj swojéj prostocie. Jest to kolumna z czarnego marmuru, kapitel z bronzu, a nad nim orzeł z rospostartemi skrzydłami. W trzech językach stoi u dołu napis: „Polski geniusz nieśmiertelny, po stuletniéj wojnie z przemocą i bezprawiem niezwyciężony, woła na wolnéj ziemi Helwecyi o boską i ludzką sprawiedliwość"! Tłum cały wybuchnął w głośny płacz, poczém nastąpiły mowy. Między innemi mówił Saxer landaman z St. Gallen: Kto ma taką wspaniałą ojczyznę jak Szwajcarowie, góry bijące w niebo i uśmiechnięte jeziora, ten wie, co to znaczy utracić ojczyznę! Serca wolnego ludu biją dla ludu walczącego o wolność. Oto przyczyna, że nam przypadło być stróżami tego pomnika. Czyli to nagrobek? czyli umarły zmartwychwstanie? Ale któż śmie wątpić, że duch wolności ogarnie świat, że płomienie wolności, które nam świecą, zaświecą i Polsce! Poetyczną mowę miał Kornel Ujejski — historyk nasz Henryk Szmidt napominał do pilnéj pracy, bo tylko własnemi siły może się Polska odrodzić. Laforge mówił: „Wierzajcie mi, przekonania Francyi towarzyszą dzisiejszéj protestacyi"! Kinkel wykazywał w długiéj mowie, że Niemcy rozumieją i współczują z sprawą polską. Przypomniał wielki rozgłos pieśni Juljusza Mosena: „Ostatnich dziesięciu z czwartego regimentu" — pieśni Anastaziusa Grüna (hr. Auerspeg), piesni Lenaua Platena, Herwegha *) wołanie:

„Za biednym krajem
Co krwią wobec nieba płacze —
I za jedyny ma ratunek
Poetów rozpacze"....

a zakończył okrzykiem: „... niech żyje nieśmiertelna, bez któréj dla wolnych ludów nie ma bezpieczeństwa, niegdyś obronicielka Europy — dzisiaj pokutnica z rozdartą purpurą i cierniową koroną — kiedyś triumfatorka i sprzymierzona wszelkiéj myśli o wolności, gdziekolwiek ona zabłyśnie — resurgat, crescat, vivat Polonia!" Jenerał Percel powiedział: „posłał mnie tu naród węgierski, żeby wam powiedzieć, że my jesteśmy zawsze waszą arriergardą". Konsul amerykański mówił

---

*) Byłby téż czas, żeby się kto zajął u nas przekładem tych pieśni poetów niemieckich. (Red.)

w charakterze urzędowym o sympatyi Ameryki. Z Polaków najlepiéj mówił poseł Danielewski.

Victor Hugo nadesłał list w którym mówi: „Jestem z wami, chociaż nieobecny, prawdziwą obecnością jest solidarność.

Prześladowanie podnosi, coby poniżyć chciało. Polska męczona pozostała narodem, a nadto stała się symbolem — reprezentuje narodowości. Nie ma narodu, któryby w swoim czasie nie był równie nawiedzony, jak Polska! nie ma trumny dla narodu.... "

Wszelkie stowarzyszenia polskie z całego świata, miasta i miasteczka nadesłały telegramy — z Krakowa nie było ani człowieka, ani słowa — z obywateli wiejskich z Galicyi nie było nikogo.

† Rok obecny obfity jest w straty dla nas dotkliwe. I znowuśmy pożegnali jednego z weteranów w służbie publicznéj i złożyli do grobów wawelskich zwłoki śp. ks. biskupa L. Łętowskiego. Żolnierz w wojsku narodowém, następnie kapłan i dostojnik kościelny, byłto człowiek surowy i prawy, byłato postać typowa, co do prostoty i oryginalności, uczynny i miłosierny jak na sługę bożego przystało, a weredyk i jowialny jakby wskrzeszona jakaś staropolska tradycja. Wielce zasłużony jako literat, autor kilku poważnych dzieł, jak: „Historyczny katalog biskupów krakowskich", „Katedra Wawelska" z przepysznemi ilustracjami, zabawiał się też i lżejszém pisaniem w kształcie jakoby dramatów, próby wierszów miarowych, albo *miscellanea* pełne humoru, młodzieńczéj werwy, a nieraz dziwnéj świeżości i postępowości, jakiejby się nikt może po biskupie i człowieku starym nie spodziewał. Przeżył poczciwie i czynnie lat 82 — całém życiem zasługiwał się krajowi, literaturze zasłużył się pracami — ubogim zasługiwał się dobroczynnością, i mimo surowego życia i nieco szorstkiego obejścia, udzielał się chętnie tak towarzystwom uczonym jak i w ogóle towarzystwu światowemu, które ożywiał, karcił, nieraz zabawił, a zawsze w respekcie dla siebie utrzymywał. Pozostanie też w pamięci niejedna scena towarzyska do której dał powód, niejedno jego wyrzeczenie, objadki które u siebie dawał — tak, że obok uznania zasług, towarzyszy mu do grobu cała sympatja naszego miasta.

Kronika. Słuszność przedewszystkiem — więc téż należy się, żeby w obecnéj porze kanikularnéj także władze miejskie i służba miejska miały ferje. A zatém nie dziwnego, że pomimo afiszów o „duchach", o „zapaśnictwie", o „czarodziejstwach", miasto nasze wygląda jakby opuszczone, wyziewy wonne krążą sobie z całą swobodą, tamując krążenie przechodniów; planty nie zamiatane, trawniki zarosłe chwastami, których oczywiście polewać nie warto, na wszystkiém zalega wspaniały kurz i proch nadający miastu iście starożytną barwę. A kiedy się poruszy, czy to w skutek ogonów sukien, czy też za każdym przejazdem fiakra lub omnibusu po szosie obok idącéj; naówczas, chociaż to nie popielec, sypie się proch na głowy i w płuca pobożnych mieszkańców, a wznosząc się coraz wyżéj i okrywając miasteczko nasze jakby całunem z szaréj, piaszczystéj mgły, jest jakoby płótnem, w które owinięta mumia — a naokoło stoją hiroglificzne napisy: „oto jest miejsce, gdzie kiedyś była stolica, potém było miasto niezgorsze — ale powiedziano jest — marność nad marnościami, proch jesteś i w proch się obrócisz — z łaski magistratu twojego!"

Dziwna rzecz, że na tych archeologicznych cnotach Krakowa, zamiejscowi ludzie poznać się nie umieją. Hotele ciągle przepełnione gośćmi jadącymi lub wracającymi z kąpiel — ale po mieście nie widać ich wcale, bo co się który wychyli, zaraz się schowa i ucieka narzekając, że nie chce nabawić się kataru i po śmieciach przewracać się nie lubi; o prostoto! Ale to i dobrze z drugiéj strony, że te bociany nie lubią u nas popasać, bo co już nie wygadują o tych naszych kąpielach, jakie obmowy, jakie skargi — a to przecie nieładnie. Wielka rzecz, że tam ktoś zaledwo na bilarze przenocować się może, albo że o łazienkę na mieszkanie musi błagać i protekcyi szukać, albo płacić 4 guldeny dziennie za izdebkę z wiązką siana; albo, że go bifsztyki trują; albo, że go droga na kawałki roztrzęsła; albo, że wpośród śmietanki, mleka i serwatki kółek towarzyskich zwykły śmiertelnik skazany tam jest, aby być singeltonem, że książki i gazety są tam fenomenem arcyrzadkim; albo, że wody w źródłach brakuje — te i tympodobne skargi można przebaczyć ludziom cierpiącym na.......... ale zawsze to niemiło słuchać takiéj obmowy swojskiego gospodarstwa. Wszakżeż lepsze swoje błoto, niżli cudze złoto — powiedział.... przepraszam, zdaje się, że nikt tego nie powiedział, lecz niemniéj zarządy kąpielowe zdają się publiczności podobną wiarę przypisywać. Mimo to wszystko jednak co tam za przyjemności! Oprócz powietrza, widoków i wody, co Pan Bóg za darmo daje — jakież to bale np. w Szczawnicy — nawet reuniony na młodziusiu się udają. Stało się to jednak z niemałym trudem. Aże z Krakowa pojawiło się czterech lwów, narobili harmideru, fumy i pretensje wzięli *ad coram*, tu się umizgnęli, tam nastraszyli, ówdzie poprosili i nareszcie o cudo! goście szczawniccy uznali się nawzajem ludźmi, zeszli się razem, aby się sobie przypatrzeć, poobracali się w tym celu przy muzyce na wszystkie strony — a lwy, kiedy myślano, że oni jeszcze walcują, albo też w serduszkach kąpielowych budują sobie chatkę — nagle zniknęli jak meteory; zabłyśli i zgaśli, tj. wrócili do Krakowa odpocząć po trudach społecznych! Nawet odczyty bywały w Szczawnicy i loterje na cele oświaty; a w Żegiestowie, gdzie w tym roku najwytworniejsze zebrało się towarzystwo, jakież to tam koncerta sielankowe nad brzegami krzyształowego Popradu! W Krynicy znowu pojawił się nasz teatr. Z powrotem z Poznania przemknęli się tylko artyści przez Kraków, tyle zaledwo mając czasu, aby się napić wody, któréj nie ma w Poznaniu,

i aby nam powiedzieć, że p. Hofmann wyjechała za granicę, że p. Modrzejowska jedzie do Warszawy na gościnne występy — a za to przybędą do nas pp. Nowakowscy i p. Aszpergerowa. Cieszmy się zawczasu i czekajmy cierpliwie na swoich śmieciach (oj prawda!), co nam wiatr jesienny przyniesie. Dobrze, że tymczasem przyniósł nam trochę deszczu, czém zasłużył się wobec magistratu. Bo też bez żartu ciągła posucha i upały były już nieznośne; ten konserwatyzm słoneczny jest nawet niebezpieczny. Bo chociaż nie ma obawy, żeby się nam w naszych najlojalniejszych głowach co zapalić miało, to sprzyja on jednak tym częstym pożarom w naszéj prowincyi. W Krakowie mieliśmy także pożar — zapaliło się w magazynie p. L. Feintucha przy głównym rynku — a każdy ogień w Krakowie, który tyle razy w własnych gruzach się grzebał, to alarm i strach daleko większy, jak gdziekolwiek indziéj. Przy téj sposobności musimy tu zapisać, gdyż się należy, a nigdzie dotąd zapisane nie zostało, że pierwsze gaszenie pożaru, ocalenie kamienicy, a więc ochronienie od niebezpieczeństwa wielkiego ognia zawdzięcza Kraków trzem obywatelom. PP. Gralichowski, Mierzb i Sawiczewski pierwsi przybiegli na ratunek i wywalili drzwi, a gdy przez tumany gorącego dymu niepodobna było wejść do środka, pp. Mierzb i Sawiczewski wpełzali się tam po podłodze (gdyż dołem zawsze wolniejsze jest powietrze) i odbierając wodę od służących z kamienicy, zalewali z całém wysileniem podłogę, sufit i schody, przez co rozszerzeniu się ognia, zajęciu się drugiego piętra i schodów zapobiegli. P. Gralichowski stojąc na drabinie pomagał w kierowaniu wężem dzielnéj naszéj straży ochotniczéj, która niebawem przybyła, i zaledwo tego życiem nie przypłacił — drabina bowiem, na któréj stał, złamała się w środku. Strażak, który był wyżéj uchwycił się jakiegoś przedmiotu, a p. Gralichowski mający pięćdziesiąt kilka lat, spadł na ziemię; szczęście, że się skończyło tylko na pokaleczeniu twarzy w skutek pękających szyb i potłuczeniu nóg a potém na całonocnych zimnych okładach, ale dopiero po ugaszeniu — gdyż i po spadnięciu nie odszedł on wcale, ale jeszcze pilnował szeregów podających wodę z miasta. Uważaliśmy za obowiązek zapisać bodaj w kronice te fakta, nie tyle jako przykład odwagi i poświęcenia, ile jako wzór poczucia solidarności obywatelskiéj, którą ci szan. panowie okazali — a w dzisiejszym czasie jałowizny i posuchy na wszelkie uczucia podnioślejsze, nie jest to wcale codziennym chlebem. Wzmianka ta nie uwłacza wcale zasługom straży ochotniczéj, którą prawdziwie obywatelski duch ożywia. W sprawie pożaru musimy jeszcze wspomnieć dwa fakta — oto widzieliśmy jak z budy na rynku z chwalebną gorliwością wytaczano jakieś powozy! — ażeby zrobić miejsce dla wydostania gdzieś tam w kącie śpiących sikawek należących do straży miejskiéj — a powtórna wzmianka należy się *Neronowi!* nie owemu rzymskiemu, ani też nie owemu, który do niedawna jeszcze był jedynym przyjacielem cesarza Napoleona III. ale Neronowi, psu p. Mierzba — nie odstąpił on pana swojego ani na krok i przebył wraz z nim cały czas w palącym się magazynie! I jakże tu mieć za złe, jeżeli w powieści p. Labulaye „Książę Pudel" — utrzymuje stary buldog, że rasa psia jest nierównie szlachetniejszą od ludzkiéj? Tyle na dziś o upałach i pożarach, a jeżeli to kogo zmęczyło i zgrzało, to radzimy mu pójść ochłodzić się w nowym sklepie ogrodnika pana Szfolca, gdzie znajdzie najpiękniejsze owoce, i kanapkę i talerzyki, i wonne kwiaty, słowem przyjemny chłodek i jakiś comfort schludny, do jakiego my w naszéj powiatowéj komorze wcale nie jesteśmy przyzwyczajeni. Obawiamy się też, czy ta śmiała nowość nie będzie powodem do potępienia sklepu! jedyna nadzieja, że nasiona, kwiaty, ogóreczki, jarzynki codziennie świeże, znajdą łaskę w oczach naszych Pań — a kto u Pań sprawę wygra, to o niewolników (czyli mężczyzn) dbać nie potrzebuje — amen.

PS. Kronikarz, który obiecuje zasługiwać się — a ma płuca zdrowe, usta obrotne, zęby wszystkie, pióro nowe, atrament alizarynowy i bibuły dużo — uprasza wszystkich dbałych o nieśmiertelność wszelkich śmiertelnych cnót i grzechów, prawd i ploteczek — uprasza najpokorniéj o nadsyłanie wiadomości do kroniki z **Galicyi** i z **Poznańskiego** — z Chuchurum i z Ameryki — przezco z kronikarza miejscowego będzie mógł zaawansować na kronikarza świata — przyrzekając wówczas protekcją wszystkim, którzy jego protegować będą! „Mądréj głowie dość na słowie" czyli: do widzenia za dwa tygodnie!

MODY.

Stosownie do objawionych życzeń zaprowadziliśmy **zupełną zmianę w rubryce mód.** Ponieważ kroje pomniejszone okazały się niedogodnemi — będziemy począwszy od 1go października podawać kolorowe ryciny, **kroje tylko w naturalnéj wielkości, i osobne wzory dla domowej roboty** w obfitości i rozmaitości takiéj, jak zagraniczne pisma mód.

Chcąc wymagania Sz. Pren. zadowolnić, podajemy już i na ten miesiąc **nowe rzeczy**, jako to:

Rycina wrześniowa przedstawia najnowsze suknie w bardzo pięknym guście.

Pierwsza osoba nosi pół długą suknię z popielatéj pepliny, zdobiąca ją falbana lamowana zielonym atlasem, jest z przodu szerszą i wychodzi bokami z pod takiejże falbany, która tworzy na sukni tunikę podpiętą fontaziami z niedługiemi końcami. Staniczek wycięty z przodu w kwadrat, uzupełnia biała koszulka w karbowane falbanki, spięta zielonym fontazikiem.

Mała dziewczynka ubrana w sukienkę z żółtéj alpagi wycinaną dołem w ząbki i ozdobioną aksamitem pąsowym, wycięty staniczek opasany paskiem aksamitnym z sutą szarfą w tyle. Buciki wysokie z pąsowego safianu.

Trzecia osoba w stroju spacerowym. Suknia krótka lila materjalna, obszyta dołem czarnym aksamitem w zęby, a nad tym dwa razy gładką aksamitką. Na wierzchu suknia czarna Gros-Grain, podpinana liściami lila aksamitnemi. Dwie długie szarfy obszyte czarną frandzlą przełożone przez ramiona tak, iż formują dwie szarfy z przodu, a dwie z tyłu opasane w stanie paskiem lila jedwabnym.

Kapelusz popielaty krepowy ubrany białemi stokrotkami.

Druga rycina kolorowa.

Fig. 1. **Kapelusz okrągły** słomkowy lub krepowy, obszyty około denka szeroką czarną koronką, pod kapeluszem z boku przypięta róża mchowa. Szarfy koronkowe spięte pod brodą fontaziem z żółtéj wstążki.

Fig. 2. **Czepeczek wizytowy** biały iluzjowy, opasany wstążką koloru Lapis, związaną w tyle pod włosami. Szarfy iluzjowe.

Fig. 3. **Czepeczek ranny** mólowy z wyszywkami haftowanemi.

Fig. 4. **Mantylka z szarfami** z białego mólu, ogarnirowana bufką mólową i wstążką pąsową.

Fig. 5. **Staniczek biały** mólowy ubrany czerwonemi aksamitkami.

Fig. 6. **Koszulka biała batystowa** w drobne zakładki, ubrana batystowym garnirunkiem i niebieską wstążką.

Fig. 7. **Kapelusz słomkowy** (szkocką formą), ubrany wstążką jasno-słomkowego koloru i różami.

Arkusz wzorów i krojów (strona pierwsza).

Fig. 1. **Kołnierzyk stojący** wraz z mankietami, ozdobione haftem ruskim.

Fig. 2. **Podbródek** dla małego dziecka.

Fig. 3. **Wzór na wyszycie**.

Fig. 4. **Wzór na wyszycie** szutaziem.

Fig. 5. i 6. **Wzory do ściegu** łańcuszkowego.

Fig. 7. i 8. **Wzory do haftu** na kryzki.

Fig. 9. **Narożnik** do chustki od nosa.

Fig. 10. **Imię** „Rozalia“ do haftu.

Fig. 11. **Imię** „Paula“ do haftu.

Fig. 12. **Imię** „Clara“ do haftu.

Fig. 13. **Monogram** „E. B.“ do haftu.

Wreszcie **cały alfabet gotycki** do haftu.

(Strona druga.)

Strój sukienki na dziewczynkę 4—5ciu lat mającą.

Nadzwyczajny dodatek.

Krój z papieru w naturalnéj wielkości **na paletot** jesienny półwcięty dla osoby średniéj. Robi się go z czarnéj jedwabnéj materyi lub lekkiego korciku, albo téż z aksamitu, wycina się podług kroju w zęby i lamuje się raz lub dwa czarnym lub do koloru korciku stosownym kolorem.

*** **Po angielsku.** Opowiadają dzienniki, że pewien Anglik z powodu upałów panujących tego roku, urządził sobie salonik w sposób zupełnie nowy i oryginalny, aby się od skwaru uchronić. Pokój kazał wybić cynkiem, wysokie meble żelazne przymocować i napełnił pokój wodą aż po pas. W takim żywiole chłodnym przepędza dzień przy pracy (naturalnie w negliżu) i przyjmuje tamże odwiedziny. Przypomina się tu, co opowiada Humboldt, że jeden z gubernatorów jeszcze hiszpańskich w środkowéj Ameryce, urządził sobie salon w korycie bardzo zimnéj rzeki, wyłożywszy dno posadzką i ustawiwszy ławy i barjery. Goście w osobnym pokoju składali swoje ubranie, a wdziewali opony odpowiednie dla wodnego salonu, murzynki usługiwały roznosząc chłodniki, a u nóg gości kręciły się małe potworki z rodzaju nieszkodliwych krokodylków. Co kraj, to obyczaj.

*** Wyszły właśnie z druku w Warszawie: **„Po ślizkiéj drodze“** dramat — i **„Zawierucha“** komedja ***Wł. hr. Koziebrodzkiego*** — grane już na naszéj scenie. — Pan K. ma nadto już gotowe trzy nowe utwory: **„Hr. Marjan“** dramat, **„Pokusa“** i **„Balowe rękawiczki“**, dwie komedje jednoaktowe, **z których ostatnią podamy Czytelnikom naszym w numerze z 1go października b. r.** — a na scenie naszéj zapewnie w zimie przedstawione będą. W nowym dramacie główną rolę przeznaczył autor dla p. Rapackiego. Utwory p. K. są arcypożądaném zbogaceniem naszéj literatury dramatycznéj. Cechuje je z jednéj strony głębokie wniknienie w nasze stosunki społeczne, a z drugiéj lekkość, dowcip i zręczność w chwytaniu delikatnych drgnień duszy ludzkiéj.

*** Przybył nam w Krakowie nowy **wychowawczo-naukowy zakład** p. ***Ludwika Georgeona***, nauczyciela języka francuskiego przy gimnazjum. Młodzież ze szkół ludowych, techniki i gimnazjum umieszczona w tym zakładzie (ulica Florjańska L. 330) może pobierać wszystkie nauki szkolne, nauki języków i muzyki, a nadto otrzyma prawdziwe dobre wychowanie, przez **czujną opiekę i dobre towarzystwo.**

*** **OGŁOSZENIE!** Udziela się lekcyj języka, literatury i historyi polskiéj, literatury niemieckiéj, historyi powszechnéj — **osobno** lub **razem**. — Bliższa wiadomość w biurze „Kaliny“.

W biurze redakcyi można nabyć:

Izba rękodzielnicza w Krakowie (Projekt) . . . . egz. **10** c.
Artur Grotger — ustęp z dziejów sztuki polskiéj, przez *Alfreda Szczepańskiego* . . . . egz. **40** c.
(w księgarniach i ajencjach **50** c.)

Od redakcyi raz na zawsze.

Nie na wszystkie listy, rękopisma, a zwłaszcza wiersze możemy odpisywać dla braku czasu i miejsca — milczenie jest także odpowiedzią. — Utwory przyjęte muszą koniecznie czekać, aż na nie kolej przyjdzie. Więc prosimy o cierpliwość.

Wydawca Szczepański Alfred. Redaktor odpow. Michał Bałucki.

Prenumerata miejscowa „Kaliny“ wynosi rocznie 6 zlr. — półrocznie 3 zlr. — ćwierćrocznie 1 zlr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 zlr. 20 c. — półrocznie 3 zlr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 zlr. 80 c.
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** i bez **nut** rocznie 8 zlr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 zlr. 70 c. — półrocznie 1 zlr. 90 c. — ćwierćrocznie 1 zlr. w. a.
Nuty rocznie 1 25 c. — półrocznie 65 c. — ćwierćrocznie 35 c.
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. Jagiellońska 204, gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu“ i księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1868.